

## Wyprawa do Chin, 10-20 stycznia 2017 roku

Program pobytu w Chinach został tak przygotowany, aby umożliwić uczestnikom udział w trzech zawodach *winter swimming* organizowanych: 14 stycznia w Jinan (The 6th Jinan Festival for Winter Swimming in Springs), 16 stycznia na Wielkim Kanale Chińskim (The 3rd China International Winter Festival Taierzhaung, Zaozhuang City) oraz po raz pierwszy zawody 2017 Jingmen Zhange International Winter Swimming Festival (Hubei Province), 18 stycznia. Wyjazd został zorganizowany przez China Shandong Winter Swimming Association wraz z China Shandong Travel Service (CSTS), w porozumieniu z International Winter Swimming Association (IWSA). Głównymi sponsorami byli: Jinan Municipal Tourism Administration oraz Jinan Municipal Sports Administration.

Trasę naszej podróży wyznaczały miasta: Pekin, Jinan, Taierzhuang i Jingmen. Setki kilometrów pokonywaliśmy autobusami, szybkimi kolejami, samolotami.

### Przygotowania

Nie wykluczałem, że w 2017 roku, tak jak rok wcześniej, pojawi się kolejna okazja wyjazdu do Chin. Pierwsza rozmowa w Jełgawie z Marią, szefową IWSA, nie nastrojała optymistycznie. Dyskusje z chińskimi organizatorami trwały, wynik nie był przesądzony. Ostateczne decyzje miały zostać podjęte podczas 1st Russian Pacific Winter Swimming Open Cup, 17-20 listopada we Władywostoku. Pogodziłem się z myślą, że ubiegłoroczny wyjazd do Chin był zarazem moim ostatnim, a mój plan tegorocznych wyjazdów na zawody międzynarodowe obejmowałby udział w Jelgavas Roni Cup 2016 (w Jełgawie) 5 listopada 2016, 7th UK Cold Water Championships, 26 stycznia 2017 w Londynie oraz Pirita Open 2017 w Tallinie, 3-4 marca. Biłem się z myślami, czy w razie propozycji wyprawy do Chin, warto powtarzać kosztowną ekspedycję? Czy zacząć ją, jak w ubiegłym roku, od Pekinu, a może od Szanghaju? Czy po prostu podołał trudnościom. Niespodziewany e-mail 27 listopada od Romana z Klubu Morsów w St. Petersburgu, przywrócił wiarę w „siłę przebiccia” moich przyjaciół z IWSA. Roman upoważniony przez IWSA zwrócił się z zaproszeniem dla mnie i dwóch uczestników z Polski na wyprawę do Chin. Z każdego kraju miało uczestniczyć trzech zawodników. Decyzję należało podjąć natychmiast, biorąc pod uwagę konieczność pilnej rezerwacji lotów oraz wystąpienie z wnioskami wizowymi. Do rozpoczęcia wyprawy pozostał nieco ponad miesiąc. Zwolna zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Wiesio podjął decyzję podczas pierwszej rozmowy telefonicznej. Iwonka potrzebowała kilku godzin na przeorganizowanie planowanego wyjazdu na narty. Dzięki Wiesiowi zdążyliśmy z zakupem nieco tańszych biletów lotniczych w ostatnich godzinach tzw. czarnego piątku. Fakt, że LOT uruchomił niedawno linię do Pekinu przesądził decyzję o miejscu lądowania. Konsul w Konsulacie Chińskim nie krył zaskoczenia planem naszej wyprawy. Wizy otrzymaliśmy przed świętami. Mogłem zawiadomić Romana, że polska grupa jest już „zwarta i gotowa”. O naszych planach powiadomiliśmy Olka, prezesa naszego macierzystego Sopotckiego Klubu Morsów oraz innych jego członków. Dodam, że całą wyprawę sfinansowaliśmy z własnych kieszeni. W sklepie „4F” kupiliśmy trzy piękne czerwone kurtki i białe czapki. Firma znana Wiesiowi podjęła się naklejenia emblematów naszego Klubu oraz niewielkich „biało-czerwonych” plaketek na rękawach kurtek i czapkach. Ubezpieczyliśmy się u niezawodnej Ewy z Allianz. Zabieramy ze sobą flagi Klubu i Sopotu. Kupujemy prezenty. Tegoroczne koszty okazały się znacznie wyższe, niż w roku ubiegłym. Cóż, uznaliśmy od początku, że „wyprawa życia” ma określoną cenę.

**11 stycznia, środa**

Koleją metropolitalną z Wrzeszcza na lotnisko w Rębiechowie. W wagonie pusto, choć dopiero 9 rano. Obok mnie spostrzegam miłą, ładną dziewczynę z walizką. Widzę ją wśród oczekujących, tak jak my, na samolot do Warszawy. Z Iwonką i Wiesiem pstrykamy zdjęcie pod plakatem z Lechem Wałęsą. To „jego” lotnisko. Ostatnie sms-y do Doroty, do znajomych, do „morsów”. Żegnaj Gdańsku. Gdy w LOT-owskim „Dreamlinerze” do Pekinu zajmujemy miejsca w przedostatnim rzędzie, za nami siedzi wspomniana dziewczyna z koleżankami i kolegą. Okazują się studentami Wydziału Organizacji i Zarządzania PG, udającymi się na tygodniowy staż do Pekinu. Przypominają mi się czasy naszego „zgrzebnego” studiowania. A oni roześmiani, rozszczębotani, pełni wiary we własne możliwości, ufni, że to, co robią ma sens. Bo ma!



Port Lotniczy Gdańsk im. Lecha Wałęsy. Trasa przelotu Warszawa - Pekin, 10 stycznia (fot. W. Lorbiecki).

Śpimy niewiele. Przyłot do Pekinu około 8.30. Uroczą Chinką, naszą przewodniczką, ta sama, co w ubiegłym roku, czeka przy wyjściu. Po chwili siedzimy w taksówce. Pokoje w hotelu Yongan wygodne, większe niż w ubiegłym roku. Ja zajmuję pokój z Wiesiem, Iwona tę i następną noc spędzi sama, do czasu połączenia naszej „pekińskiej” grupy, z „szanghajską”. Dominuje zmęczenie. Witam się z Jinem. W świetnej formie, uśmiechnięty. Po chwili w lobby pojawia się Mariia i John – nasze dowództwo IWSA. Radość, poklepywanie się po plecach, pierwsze rozmowy. Śniadanie czeka, pałeczki w ruch. Następnie drzemka do 13.00. Dwie godziny, dobre i to. Grupa pekińska w komplecie. Ruszamy autobusem do ogromnego Centrum Olimpijskiego Sportów Wodnych. Wpierw zwiedzanie, pstrykanie zdjęć indywidualnych i zbiorowych. Niezliczone korytarze, wszystko lśni. Przebieramy się szybko w szatni, nieco ciasnej, jak na rozmiar obiektu. Wskakujemy do olimpijskiego 50 metrowego basenu. Ostre pływanie przez godzinę. Czego więcej oczekiwać. Mija zmęczenie podróży. Na zewnątrz pekiński smog wydaje się mniejszy niż w ubiegłym roku, choć tyle o nim napisano w prasie sprzed kilku dni. Zmierzch, księżyc w pełni. Temperatura spada, jest sporo poniżej zera. Autobusem przemierzamy Pekin. Wiem, że Mariia z Johnem odwiedzają brytyjskiego ambasadora w Pekinie, przyjaciela Johna. Ostatnie badania wskazują, że wielka aglomeracja Pekinu liczy 22 mln mieszkańców, ponad połowę ludności Polski. Ruch ogromny, jakość samochodów wydaje się lepsza niż w Polsce. Wielopasmowe aleje przelotowe. Super nowoczesne budownictwo, ogromne neony.



Z Marią i Iwoną przed Stadionem Olimpijskim, Pekin, 11 stycznia (fot. W. Lorbiecki).



Część „pekińska” naszej ekipy w Olimpijskim Centrum Sportów Wodnych, Pekin, 11 stycznia (fot. W. Lorbiecki).

Co rusz widzimy osoby w mundurach. Mundur oznacza porządek, hierarchię, łatwe zidentyfikowanie, prestiż. Praca w służbach mundurowych zapewnia zatrudnienie, powolny awans i spokojny byt. W

hotelowej restauracji witają nas kelnerki w ludowych strojach. Manipulujemy dość niezgrabnie pałeczkami; do wprawy brakuje kilku posiłków. Potraw wiele, smacznych. Butelki chińskiego piwa. Wraz z nami jest 3 Anglików, dwoje Irlandczyków Barry i Caitriona, 4 Łotyszy z Aleksandrem, 3 Rosjan z Romanem, 4 Finów (mama Outi z synem i córką Lottą) oraz Mariia. Jestem nieco zaskoczony skromną liczbą reprezentowanych krajów – czyżby projekt powoli „siadał”? Sprawa wyjaśni się za kilka dni, gdy dołączy grupa z Szanghaju. W pokoju hotelowym o 21. (przesunięcie czasu) porządkujemy dobytek. Po szklaneczce whisky dla rozluźnienia. I jeszcze jedna „double”. Notatki. Jutro wstajemy o 6.30. Czekają nas główne atrakcje turystyczne Pekinu: Zakazane Miasto oraz Chiński Mur. Czy uda mi się wdrapać na ostatnią basztę muru, jak w ubiegłym roku? Czy przepłynę dystans ponad 300 m podczas zbliżających się zawodów w Jinan? Z tymi dylematami zasypiam.

## 12 stycznia, czwartek

Jedziemy autobusem w stronę „Zakazanego Miasta”, kompleksu pałaców chińskich cesarzy. Po drodze Jin wprowadza nas w tajniki zbliżającego się Nowego Chińskiego Roku, 27 stycznia. Mijający rok jest pod chińskim znakiem zodiaku „Mały”, zbliżający się pod znakiem „Koguta”. Na kolanie, podczas jazdy, przepisuję dla zabawy (bez kontroli poprawności j. angielskiego), z kartki od Jina, kilka horoskopów odnoszących się do mnie i najbliższych:

1. Pig: shy but short-tempered. Impulsive and honest. Steadiest in friendship. Best with Rabbits&Sheeps – stay away of other Pigs. 1935, 1947, 1959,
2. Ox: bright, inspiring and easy-going, also an alert mind and body. You are making an outstanding parent. You should marry Snake or Rooster, not Ram. 1925, 1937, 1949, 1961, 1973,
3. Monkey: very intelligent, may be a genius. You invent things. Get along with Rat&Dragon never Tiger. 1968, 1980, 1992.



Przy Placu Niebiańskiego Spokoju (Tian'anmen), Pekin, 12 stycznia (fot. W. Lorbiecki).



Iwona, Mao i ja, przed kompleksem pałaców cesarzy Chin (Zakazane Miasto), Pekin, 12 stycznia (fot. W. Lorbiecki).

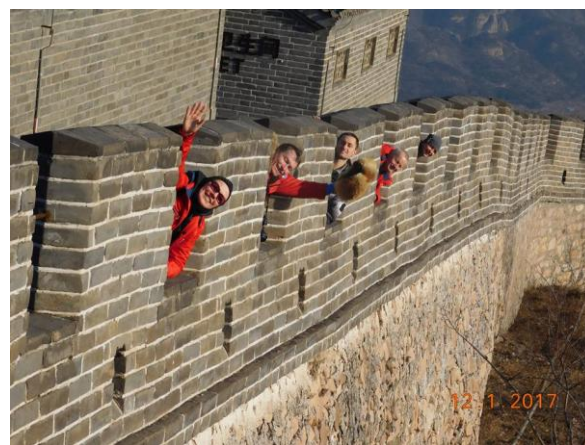


Iwona i Wiesio w „Zakazanym Mieście”. Fragment cesarskiego pałacu, Pekin, 12 stycznia (fot. W. Lorbiecki).

Zatrzymujemy się w pobliżu rozległego Placu Niebiańskiego Spokoju (Tian'anmen). Pstrykamy zdjęcia, w tym „oficjalne” do publikacji, sprzedawanej następnie za 15 dolarów. Po licznych kontrolach, bramą pod ogromnym portretem Mao wchodzimy do „Zakazanego Miasta”. Załączone fotografie świadczą o kolorystyce i niezwykłości obiektów. Czytamy o przeznaczeniu kolejnych pałaców cesarskich. Dominuje „harmonia”, kluczowe słowo do zrozumienia chińskiej religii i kultury. Harmonia w architektonicznych detalach, konstrukcji przestrzennych pomieszczeń. Harmonia słów i czynów. Wokół rzeźbione kadzie na wodę – drewniane konstrukcje były w ubiegłych stuleciach narażone na pożary. Choć byłem tu rok temu, pozostaję pod wrażeniem piękna i dostojeństwa. Krótka, dużo za krótko w ogrodach cesarskich. Wyruszamy poza Pekin. Zatrzymujemy się przed Chińskim Murem, wijącym się na szczytach otaczających wzgórz. Jaką mobilizującą siłą jest zbiorowy strach? Przed mongolskimi najeźdźcami zjednoczyło się w twódcę całe miasto, by wznieść gigantyczną budowlę liczącą setki kilometrów. Przed nami niewielki (3-4 km) fragment muru, udostępniony turystom. Wieje mniej, niż w ubiegłym roku, ale temperatura poniżej zera. Pełne słońce.



Za chwilę wspinaczka na Wielki Chiński Mur w pobliżu Pekinu, 12 stycznia (fot. W. Lorbiecki).



Na Chińskim Murze, 12 stycznia (fot. W. Lorbiecki)

Ruszam pierwszy. Za mną ciężko dyszący John. Ważne, by dobrze rozłożyć siły. Czuję mniejsze zmęczenie niż w ubiegłym roku. Cóż, głębokie wdychanie mroźnego powietrza da znać o sobie za kilka dni. Wywołana nim choroba towarzyszyć mi będzie przez kilka najbliższych tygodni. Na szczycie wyjmuję z plecaka piersiówkę z whisky. Żartobliwy napis na piersiówce „Thirst Aid” z białym krzyżem na czerwonym tle, wzbudza zainteresowanie i śmiech Anglików. Ja, John, Iwona, Wiesio i inni (Irlandka, dwoje Anglików, Vicky i Shaun). Fotografie z flagami Polski i Sopotu. W drodze powrotnej zatrzymujemy się, jak w ubiegłym roku, przy sklepie z wyrobami z jedwabiu. Oglądamy proces produkcji. Kupuję tym razem kołdrę dla Doroty i apaszkę dla Kasi. Niemal wszyscy wychodzą

objuczeni jak ja, kołdrami, poduszkami, narzutami, apaszkami, krawatami itp. Wszystko z najczystszej jedwabiu. Dzień kończymy udziałem w spektaklu teatralnym. Byłem tu rok temu, więc oglądam cyrkowe pokazy z nieco mniejszym przejęciem. Wokół mnie żywiołowe reakcje na mistrzowskie wykonanie kolejnych scen. Wreszcie znakomita kolacja. Posługujemy się już pałeczkami nad wyraz sprawnie. Rozmowy z nowopoznanymi koleżankami i kolegami. Irlandczyk Barry mieszkał przez kilka lat w Sztokholmie, jak ja z Dorotą. Zaczynam kastać – skutek niepotrzebnego „biegu” na szczyt Muru. Kończymy z Wiesiem pierwszą butelkę whisky. Służyła nie tylko nam, ale i poprawie nastroju pozostałych towarzyszy podróży. Musimy wstać o 6.30, bo czeka nas podróż do Jinan. Jestem coraz bardziej podekscytowany czekającym nas dystansem 300 m. Czy nie zrezygnować?



Na szczycie Chińskiego Muru, 12 stycznia (fot. W. Lorbiecki)



Shaun, Cairtriona, John, Iwona i ja. Z uroczymi Chinkami na szczycie Chińskiego Muru (fot. W. Lorbiecki)

### 13 stycznia, piątek

Przed wschodem słońca autobusem na ogromny pekiński dworzec. Kontrole bagażu i bramki. Słabo spałem, czując nadciągające przeziębienie. Zapalenie oskrzeli? Na peronach liczne pociągi typu „pendolino”, tyle, że podróżujące z prędkością ok. 300 km/godz. Wszystkie miejsca zajęte. W ciągu ok. 1.5 godziny znajdujemy się ok. 400 km od Pekinu. W Jinan dołącza grupa z Szanghaju. Ściskam się z Jaimie z Nowego Jorku i z Alice z Londynu, władającą znakomitym chińskim. Będzie nocowała razem

z Iwoną. Jest Lisa, córka Marii, która przyleciała z Australii, gdzie studiuje. Francuz Aleksander okaże się bardzo interesującym rozmówcą. Ogromna radość, że znów jesteśmy razem. Pstrykamy wspólną fotkę. Z bagażami docieramy do autobusu na dalekim parkingu, i w drogę. Miasto piękne, nowoczesne, z wybudowanym już wieżowcem w kształcie banana (rok temu budowa trwała). Mamy 40 minut na rozpakowanie bagażu w Jinan Liangyou Fulin Hotel, bo czeka nas wyjazd nad jezioro. Jak mówi Jin - przed jutrzejszymi zawodami, mamy „*taste the water*”, a nie „*teast the water*” jak mawiają niektórzy. Pełna nazwa zawodów brzmi: The 6th Jinan Festival for Winter Swimming in Springs. The 12th Shandong Jinan Winter Swimming Challenge in Daming Lake. Właśnie rozstawiane są boje wyznaczające trasę wyścigu. Biję się wciąż z myślami, czy jutro wystartować. Do długiego, jak na mnie dystansu, dodaje się złe samopoczucie spowodowane przeziębieniem. Postanawiam wskoczyć na chwilę do wody. Czy mogę się wycofać? Mogę. Czy dam radę? Wiem, że w tej chwili podejmuję ostateczną decyzję o starcie. Raz kozie śmierć. *Que sera, sera*. Odległa wyspa po przeciwnej stronie przypomina mi wyścig z ubiegłego roku. Rozbieramy się w miłym rozgardiaszu wprost na brzegu, otoczonym płotem. Dookoła liczni Chińczycy z aparatami fotograficznymi. Pozujemy do wspólnych zdjęć. Jeden z nich pokazuje fotografię ze mną z ubiegłego roku. Wzruszające. Woda zimna ok. 3-4 stopni, orzeźwiająca. Inni, w tym Iwona i Wiesio wyptywają naprawdę daleko. Wracamy do hotelu, rozwieszamy mokre kąpielówki. Wkładamy „najlepsze” ubrania. Czeka nas *gala dinner* z przedstawicielami regionu (bagatela, 90 mln mieszkańców), miasta i sportu. Przemówienia powitalne. Głównemu gospodarzowi wręczam album o Polsce z dedykacją i naszymi podpisami. Okazuje się, że mówi poprawnie po angielsku. Rozmawiamy kilka dobrych minut. Na stole chińska wódka 75% o smaku rodzimego bimbru. Trzeba uważać przy toastach. Potrawy wydają się lepsze od pekińskich. Siedzę przy stole obok młodego Fina, dalej jego pływająca mama Outi i 20-letnia filigranowa siostra Lotta. Jest jedną z najlepszych pływaczek, jakie znam. Studentka 2 roku pedagogiki. Dowiaduję się od brata, że wraz z dziadkiem i ojcem prowadzą w Helsinkach rodziną firmę elektroniczną specjalizującą się w grach komputerowych. Rozmowa z młodym człowiekiem jest naprawdę interesująca. Rozochoceni wracamy do hotelu około 22. Czytam sms Doroty z pytaniem, dlaczego Wiesio nie publikuje na FB fotografii z podróży. Dowiaduję się z zaskoczeniem, że w Chinach, dla zwykłego śmiertelnika, niedostępne są Google ani FB. Internet jedynie lokalny, choć są podobno metody „obejścia” zakazu. Dostęp w pełnym wymiarze posiadają międzynarodowe korporacje. Włączamy TV. Na każdym kanale, lokalne wiadomości lub filmy z walk narodowowyzwoleńczych. Czerwony sztandar, tyraliery, świętowanie zwycięstwa nad wrogiem. Wiem, w jakim państwie jesteśmy. Kładę się spać spokojniejszy. O ile Wiesio i Iwona przeprowadzili naturalny, intensywny trening przed jutrzejszymi zawodami, ja przebyłem daleką drogę od wahania, po decyzję. Choć przecież podświadomie wiedziałem, że WYSTARTUJĘ. Niemniej tykam całą tabletkę nasenną.

## **14 stycznia, sobota**

Pobudka, śniadanie i wyjazd autobusem nad jezioro Daming. Pełne słońce, temp. około +5 st. Czuję, że grzeje. Idealna pogoda na *winter swimming*. Tłumy widzów, przemówienia, kobieca orkiestra w ludowych strojach z bębnami, jak w ubiegłym roku. Chińczycy nieustannie fotografują i dają się fotografować, co sprawia wrażenie zbiorowej pasji. Ekipa rosyjska powiększyła się o kilkanaście osób, głównie zawodników z Władywostoku, gdzie niedawno zorganizowano 1st Russian Pacific Winter Swimming Open Cup (17-20 listopada). Kilko znam z różnych wcześniejszych zawodów. Dołączyła też grupa mongolska z Ułan Bator. Podczas wczorajszego uroczystego obiadu, Rosjanie po kilku kieliszkach podjęli wątek swego poświęcenia dla obrony Europy przed tatarską Złotą



Ordą. Wspominam zwycięską bitwę księcia Dymitra Dońskiego na Kulikowym Polu (1380 r.), budząc uznanie obu stron. Wszystko naturalnie w żartobliwym tonie. Koledze z Mongolii wspominam o tradycji Lajkonika i tatarskiej strzale utkwionej w trębaczu z mariackiej wieży. Nigdy o tym nie słyszał. Deklaruję zamiar przyjazdu do Krakowa. Wznosimy toast *za drużbu*.

Moja grupa wiekowa, czyli 70+ startuje dopiero ok. 13. Wiesio startuje tuż po otwarciu zawodów. Wychodzi zachwycony z wody po przepłynięciu 300 m. Iwona strątuje w grupie nr 8. Ciekawe, że kolejność startów zaczyna się, od najmłodszych do seniorów. Przebieram się w autobusie, rzeczy wkładam do worka, pożyczonego przez Wiesia (własny, przez nieuwagę zostawiłem w hotelu). Lekko ubrani wsiadamy na prom. Jest nas ok. 30 zawodników. Jestem wraz z trzema „naszymi”, sympatycznym Sergiejem, doskonałym fotografem, oraz dwoma Łotyszami. Pozostali to Chińczycy. Rozbieramy się na łodzi, rzeczy do worka, zsuwamy się do wody. Start. Płynę stylem klasycznym, bo ciasno i można na starcie zdrowo oberwać. Odsuwam się o 2-3 metry i jest już bezpieczniej. Byle zachować regularność ruchów i oddechu, przezwyciężyć zimno. Stopniowo grupa dzieli się na mniejsze. Wiem, że dopłynę. Zwiększam tempo, płynąc najszybciej jak potrafię. Wyprzedzam kilku Chińczyków. Wreszcie brzeg. Wychodzę o własnych siłach.



Do pokonania przed zawodnikami 300 m. Jezioro Daming w Jinan, 14 stycznia (fot. W.Lorbiecki) .

Wiesio wręcza mi polską i sopocką flagę. Pstryk, pstryk. Idę powoli po kubek gorącej herbaty, ale nie jestem w stanie go utrzymać. Ręce tak drżą, że wylewam wszystko. Obejmuje mnie Rosjanin Roman. Zachęca do głębokiego oddychania, prowadzi powoli do autobusu. Okrywa własną kurtką. Dzięki Romanie. Wracam powoli do rzeczywistości. Ubieranie zajmie mi 20 minut. Jestem wciąż rozdygotany, ale już panuję nad sobą. Czuję się SPEŁNIONY. Osiągnąłem apogeum swoich możliwości, biorąc pod uwagę przygotowanie pływackie, odporność na zimno i wiek. Po raz kolejny dostrzegam, że proces osłabienia organizmu, wynikający z naturalnego starzenia, ma charakter nieliniowy. Myślę

o zdaniu Goethego „Zobaczyć Neapol i umrzeć”. Jestem w podobnym do niego nastroju. Okazuję się, że z czasem 8 min. 10 sek. zająłem 17 miejsce, tak, jak w ubiegłym roku. W kasie odbieram nagrodę 100 juanów. Jestem w siódmym niebie.



Winter swimming to jest to; Barry, Cairtriona, Lisa, Alice, Jaimie, Mariia, John i Aleksandr. Jezioro Daming w Jinan, 14 stycznia (fot. W.Lorbiecki).



Cóż znaczy dla Wiesia 300 m. Jezioro Daming w Jinan, 14 stycznia (fot. J.Starościak).

Wokół Chińczycy zachęcający do wspólnych fotografii. Stają obok wiekowego jegomościa otoczonego wianuszkami słuchaczy. Ma ponad 80 lat. Wieloletni „mors”. Dobra angielszczyzna. Dwie córki w USA. Napisał książkę o morsowaniu; rozdaje jej egzemplarze. Musiał w życiu wiele przeżyć. Takich krótkich

„interakcji” jest wiele i nie sposób je opisać. Uśmiech, wyciągnięta dłoń, próba rozmowy. Te drobne spotkania nadają sens naszemu wyjazdowi i towarzyszącemu wysiłkowi. Tworzą wspólnotę ludzi, gdzie słowa stają się zbędne. Mieszają się języki, fiński, polski, chiński, angielski, rosyjski, łotewski, francuski, mongolski. Iwona przepływa dystans 300 m. bez kłopotu, prócz mocnego uderzenia w głowę przy starcie od jakiejś krewkiej zawodniczki. Po powrocie do hotelu mamy godzinę na uporządkowanie bałaganu, rozwieszenie mokrych kąpielówek, czepków, pływackich okularów, ręcznika, kłapek. Spacer po Jinan, gdzie trwają przygotowania do powitania Nowego Roku (27 stycznia).



Spacer po Jinan 14 stycznia; przygotowania do powitania Nowego Roku



Spacer po Taierzhaung 15 stycznia; przygotowania do powitania Nowego Roku. 2017 będzie „Rokiem Koguta”.

Przed chłodem uciekamy do ogromnego supermarketu, głównie z odzieżą, pod głównym placem. Mijamy tłumy Chińczyków. Ruszamy wreszcie do restauracji na obiad. Wszyscy głodni. Powszechny entuzjazm. Dania wysokiej klasy. Siedzę tym razem przy Lottcie. Rosjanie rozlewają po szklance wódki. Inni wolą wino i piwo. Dostaję w prezencie od Jina butelkę chińskiej wódki, a od Rosjan czepki pływackie, breloczki. Rozmowom nie ma końca. Wreszcie w pokoju. Pakowanie. Gasimy światło po 23.00. Czy moje oskrzela wytrzymają dzisiejszy wysiłek? Wierzę w uzdrowieńcze działanie zimnej wody.

## 15 stycznia, niedziela

O 8.00, po śniadaniu, opuszczamy Jinan. Jest południe, a my wciąż w drodze. Postój na toaletę. Kupujemy butelki wódki na prezenty. Tym razem chowam do plecaka butelkę w kształcie granatu. Cóż, będzie przeciekać. Mariia i John opowiadają o bałaganie towarzyszącym organizacji I mistrzostw *winter swimming* w Vermont, USA. W obecności zawodników wyrąbywano przerębel na jeziorze, a już rozebranych podwożono z hotelu samochodem na start. Nasza podróż potrwa 8 godzin. Mijamy chińskie wioski. Trudno o większy kontrast między miastem, a nędzną wsią. Typową wioskę tworzą dwa rzędy betonowych parterowych budynków podobnych do „garaży”, szpecących nasze miasta. Nie ma własności prywatnej. Tym samym nie ma obór, stajni, stodoł, przydomowych ogródków. Nie dostrzegłem wolnostojących gospodarstw. Brak rynków. Nie wspomnę o braku kościołów. Wioski są nierzadko otoczone betonowym murem z bramą i wieżyczką strażniczą. Ochrona mieszkańców, czy przed mieszkańcami? Czy można się dziwić powszechnej, liczącej setki milionów, migracji ze wsi do miast. Tym samym chińskie miasta rozrastają się do gigantycznych rozmiarów. Był czas, że taki exodus był restrykcyjnie regulowany. Obecnie w miastach wznosi się miliony mieszkań. Część z nich wciąż czeka na użytkowników. Czyżby budownictwo wyprzedziło migrację? Na jakich zasadach odbywa się zasiedlanie, nie wiem. Przejeżdżając autobusem w pobliżu gigantycznej cementowni, czujemy w powietrzu pył. Upatruję w nim jednego ze źródeł dotkliwego zanieczyszczenia środowiska. Place budów są kolosalne. Jedynie autokratyczne rządy są w stanie podołać takiemu przeinwestowaniu. Czy na długo? Wydaje mi się, że więcej Chińczyków niż w ubiegłym roku, nosi maseczki na twarzy. Czy maseczki naprawdę chronią drogi oddechowe, czy stanowią pozór dbałości władz o mieszkańców? Dojeżdżamy do Taierzhaung, Zaozhuang City. I Wiesio i ja kaszlemy. Natychmiast po przybyciu maszerujemy do pokoiw Taierzhuang Guest House w „starożytnym mieście” zniszczonym podczas wojny i odbudowanym wg dawnych wzorów. Bagaże podwożą meleksami.



Basen na Wielkim Kanale Chińskim gotowy do zawodów. Taierzhaung, 15 stycznia.

O 16.00, rozpoczyna się odprawa przed zawodami The 3rd China International Winter Festival Taierzhaung, Zaozhuang City. W sali 100 osób. Dużo słów, niewiele treści. Mariia i Aleksandr zadają

rozsądne pytania, wyjaśniają regulamin zawodów. Nie mamy informacji, o której startujemy w poszczególnych konkurencjach i grupach wiekowych. Brak numerów startowych. Szczegóły mamy poznać jutro rano przed zawodami. Przed konferencją Iwona oświadcza, że już zdążyła wskoczyć do wody. Brawo. Podczas uroczystej kolacji siadam obok Alice. Przez dwie godziny dyskutujemy o współczesnych Chinach, o Brexicie, o wyniku wyborów w USA, o trudnym dla Europy procesie emigracyjnym. Łączy nas jedność opinii. Alice opowiada o wszystkim z ogromną żywiołowością, widać jak intensywnie przeżywa świat, który próbujemy, jedno przez drugiego opisać, zrozumieć i „zbawić”. Rezygnujemy z Wiesiem z wieczornego spaceru po mieście. Czas na odpoczynek. Mocne przeziębienie daje o sobie znać. Jutro czekają mnie cztery starty. Raczmy się - wyłącznie w celach zdrowotnych - whisky, przygotowujemy „sprzęt pływacki”. Nie możemy niczego zapomnieć, bo jutro na świeżym powietrzu spędzimy 10 godzin. Temperatura sporo poniżej zera. Wiesia także czekają cztery starty, tyle, że na dystansach dłuższych od moich. Będzie to mój najbardziej intensywny dzień pływacki w życiu.



W Świątyni Królowej Nieba (Temple of the Queen of Haven). Dzieci - pionierzy, Taierzhaung, 15 stycznia.

## 16 stycznia, poniedziałek

Po śniadaniu, torba na plecy i marsz nad basen pływacki zbudowany w odnodze Wielkiego Chińskiego Kanału. Gromadzą się tłumy widzów, maszerują kolejne chińskie zespoły klubowe wymachujące sztandarami i transparentami. Cóż, wobec tej potęgi, znaczy nasza niewielka kilkudziesięcioosobowa grupka. Pozujemy do fotografii. Rozbieramy się na świeżym powietrzu. Wpierw 50 m stylem dowolnym. Płyniemy na ośmiu torach, Nie wiem ilu pływaków startuje w mojej grupie wiekowej. Wraz ze mną płynie na pewno Rosjanin ur. 1946 r. i Łotysz. Po nawrocie uderzam ręką w linkę dzielącą tory. Mimo zimna czuję ból. Gratulacje, atmosfera wzajemnej życzliwości i entuzjazmu. Dopingujemy, co sił w płucach. Fotografie, szybkie nakładanie w chłodzie ciepłej odzieży, by po niedługim czasie ponownie stanąć na starcie i znów dać z siebie wszystko. Cóż zresztą znaczą moje 2x50 m i 2x25 m w stylu dowolnym i klasycznym wobec Wiesia 100, 200, 50 i 25 metrów stylem dowolnym. Czas zatrzymuje się. Liczy się start i meta, walka z czasem, z samym sobą. I dotkliwy chłód. Pilnujemy, by we właściwym momencie stanąć w szeregu oczekujących na start. Uważamy, by nie pogubić części garderoby. Ważne, by przed startem zachować tyle ciepła, ile się da. Iwona trzyma moją kurtkę, ja trzymam ubranie Wiesia. Okrywam swoją kurtką drżącą Jaimie przed jej kolejnym startem. Jaimie nie pływa, ona frunie po wodzie. Podobnie Lotta i znakomita młoda Rosjanka z Władywostoku. Fotografie lepiej oddają nastrój, niż słowa.



Szykujemy się na schodach do startu w mojej grupy wiekowej (70-75). The 3rd China International Winter Festival Taierzhuang, Zaozhuang City, 16 stycznia (fot. W. Lorbiecki).



Wyścig trwa. The 3rd China International Winter Festival Taierzhuang, Zaozhuang City, 16 stycznia (fot. S.Bukharin)



I po wyścigu, The 3rd China International Winter Festival Taierzhaung, Zaozhuang City, 16 stycznia (fot. S.Bukharin).

Wreszcie sztafety. Niespodziewanie John proponuje Iwonie start w sztafecie brytyjsko-polskiej. Zachęcam, by mimo rosnącego chłodu nie odmawiała. Po chwili wahania, zgadza się. John wniebowzięty. Nieważne jest zdobyte miejsce. Istotą *winter swimming* jest gotowość i pozytywna postawa, co podkreśla wielokrotnie John. Ostatnie fotografie przy polskiej fladze.



Sztafeta brytyjsko-polska: John, Iwona, Alice i Vicky. The 3rd China International Winter Festival Taierzhaung, Zaozhuang City, 16 stycznia (fot. J.Starościak)

Po godzinnym odpoczynku ruszamy na obiad. Jedzenie znakomite. Dowolna ilość alkoholu, wódka, wino i piwo ułatwiają powszechne bratanie się. Mam dłuższą rozmowę z Borysem i Gregorijem nt katastrofy samolotu z Chórem Aleksandrowa. Z Francuzem Aleksandrem rozmawiamy o zamachach w Paryżu, a przede wszystkim w Nicei. Takie rozmowy prowadzi się „otwartym tekstem”. Aleksander nie kryje obaw, co do przyszłości Francji. Podobną troskę wyraża Alice, obok której siedzę. Rozmawiamy o wschodzie Europy, o Rosji, o Ukrainie. Andriej, świetny pływak, coraz bardziej wstawiony, wręcza mi kolejne upominki. To rosyjski oficer. Przyjechał z żoną i dwuletnim synkiem. Najstarsze jego dziecko ma 20 lat. Z Iwoną i Wiesiem intonujemy „Sokoły”, które wszystkim się podobają. Dla Rosjan, przy całej do nich sympatii, Ukraina jest zbuntowaną prowincją, która prędzej czy później powróci skruszona na „ojczyznę łono”. Niewiele z tego wszystkiego rozumie Alice, choć czuję, że chce wiedzieć więcej o tej części Europy. Ktoś coś intonuje przy oddzielnych stolikach. Gdy podchodzę do Marii, proponuje zaśpiewanie czegoś wspólnie. Już w Sopocie przygotowałem „Cichą noc”, przetłumaczoną na 300 języków, nawet na chiński pt „Ping’an Je”. Mariia przyjmuje moją propozycję z entuzjazmem. Po chwili, w chińskiej restauracji rozbrzmiewa piękna kolęda. Zapropnowałem jedynie pierwszą zwrotkę, John intonuje drugą. Piękny nastrój słów *”pokój niesie ludziom wszem”*. To nas łączy. Następnie wraz z Johnem śpiewamy moją ulubioną *„Daisy, Daisy give me your answer do”*. Mariia śpiewa *„O my darling Clementine”*. Wreszcie Irlandka obdarzona pięknym głosem śpiewa *„Whisky in the jar”*. Gdy wspominam Alice, że moje 45 lat małżeństwa jest największą i najpiękniejszą przygodą życia, w jej oczach pojawiają się łzy. Ale emocje. Czas na wręczanie dyplomów i medali. Iwona, Wiesio, ja. Rzeczywiście zdobyłem 4 złote. Zbliżamy się do końca posiłku. Duża grupa, blisko 20 osób, zamierza razem spędzić jeszcze trochę czasu. Zamiast do jednego z pokojów hotelowych wybierają pub. Po 5 minutach jesteśmy w środku. Zimno i mało przytulnie. Jest 23.30. Postanawiamy z Iwoną wrócić do hotelu. Wiesio zostaje, ale po kilkunastu minutach i on dał za wygraną. Drugi pub okazał się również nieprzytulny. Mycie, pakowanie walizki. Dzwonię i rozmawiam z Dosią. Wspominam o 4 medalach; po chwili Dorota umieści tę wiadomość na FB. Tempo podróży i przesunięcie czasu nie pozwalają na częsty kontakt z domem.



Moje 4 złote medale. Łotysze, Amerykanka, Rosjanin, Irlandczycy, Anglicy, Francuz, Polacy - reprezentacja IWSA. The 3rd China International Winter Festival Taierzhaung, Zaozhuang City, 16 stycznia (fot. S.Bukharin).



## 17 stycznia, wtorek

Tym razem późno, bo dopiero o 10.00, wyruszamy autobusem w dalszą podróż. Wcześniej opuszcza nas grupa Rosjan z Władywostoku. Nie śledzę programu następnych dni; jest dłuższy niż w ubiegłym roku. Acha, Mariia jeszcze przed śniadaniem weszła do wody. Imponujące. Nie znajduję usprawiedliwienia dla własnego lenistwa, prócz pogłębiającego się przeziębienia. Wpierw 1,5 godziny jazdy autobusem na dworzec kolejowy. Gdy mijamy ogromny kamieniołom, a następnie gigantyczną cementownię, czujemy w autobusie drażniącą nos zawiesinę. Kominy dymią na całego. Moje chore oskrzela reagują natychmiast; kaszlę przez 15 minut, jak najęty. Na stacji w Zaozhuang przechodzimy rutynową kontrolę bagażu. Oczekujemy na pociąg do Wuhan. Jemy suchy prowiant: słodką bułkę z szynką, dwie mandarynki oraz dwa chińskie kiełbaski; pijamy mleko z woreczka. Po wypiciu mleka zastanawiam się, czy nie nastąpi żołądkowa rewolucja. Wjeżdżam schodami na peron, jako jeden z ostatnich. Dosłownie po minucie wjeżdża „pendolino”. Nasza grupa jest już daleko z przodu. Aby zdążyć, wsiadam do najbliższego wagonu. Przedarcie się do swojego miejsca z ciężką walizką oraz plecakiem stanowi nie lada wyzwanie. Pasażerowie z bagażami zmierzającymi w przeciwną stronę blokują wąskie przejście. Chińczycy pomagają jak mogą. Zamieszanie trwa kilkanaście minut. Wreszcie siadam obok Lotty. Po chwili pojawia się Jin i zachęca bym przeszedł do następnego wagonu, który okaże się I klasą. Siedzą w nim Mariia, John, Aleksandr (nasze naczalstwo), a także Roman i Borys. Jin ustępuje mi miejsce. Zażenowany siadam przy Borysie, najstarszym w naszej międzynarodowej grupie (honorowym prezesie klubu morsów w St. Petersburgu). Kilkakrotnie podziękuję Jinowi za wygodny fotel I klasy. Pociąg mknie z prędkością ok. 300 km/godz. Mamy do Wuhan 4,5 godziny podróży w komfortowych warunkach. O 18.00, dojeżdżamy do Wuhan. Przez część podróży spałem, przez część czytałem świetną książkę Billa Brysona, Amerykanina z obywatelstwem brytyjskim, pt „Herbatka o piątej”, którą dostałem od Kasi pod choinkę. Angielka Wicky zna ją i chwali. A ja, co chwilę wybucham głośnym śmiechem wzbudzając zainteresowanie współpasażerów. Znam wiele miejsc w Wielkiej Brytanii, które Bryson opisuje barwnym, dziennikarskim językiem. Kasia przeczytała książkę w ciągu jednego dnia. Znakomita lektura na podróż. Wsiadamy, ale okazuje się, że do celu dzielą nas jeszcze 3 godziny jazdy autokarem. Przebędziemy dzisiaj odległość ok. 1200 km, jak z Gdańska do Wenecji. Gdy wsiadamy do autobusu, każdy z nas otrzymuje torbę z posiłkiem z McDonald’s. Dzięki Jinie, że pamiętasz o wszystkim – rzeczywiście kiszki grały już marsza. O 23.00 wjeżdżamy do Jingmen rozświetlonego setkami neonów. Drapacze chmur. Planet International Hotel wygląda, nie przymierzając, jak w Las Vegas. Pokoje znakomite. Nasz znajduje się na 17 piętrze, jadamy na 23. Mieszkańcy, którym mijamy, dobrze ubrani, samochody dobrej jakości. Na parkingu przed hotelem stoją Hummer i Maserati. Szybko rozdane klucze, winda. Myślimy o spaniu, ale musimy przygotować wszystko, co potrzeba na jutrzejsze, ostatnie zawody pływackie. Czeka nas pobudka o 6.30.

## 18 stycznia, środa

W ogromnej hotelowej restauracji jemy doskonałe śniadanie. Znów smakują mi chińskie potrawy, które w ostatnich czasie nieco spowszedniały. O 7.30 wyjazd. Po godzinie stajemy nad pięknym, rozległym jeziorem. W oddali, po przeciwnej stronie ogromne miasto. Pod stopami żółty „sopocki” piasek, tuż przed nami wysepka z palmami. Słońce przebija się przez mgłę; dobry nastrój udziela się wszystkim. Tłumy chińskich zawodników. Nad nami przelatuje zabytkowy aeroplan. Lata dron. Trybuna dla gości honorowych. Otwarcie zawodów 2017 Jingmen Zhange International Winter Swimming Festival. Przemówienia, w tym Marii, jak zwykle doskonałe.



Szefostwa IWSA: Mariia, Aleksandr i John. Basen czeka na winter swimmers. 2017 Jingmen Zhanghe International Winter Swimming Festival, 18 stycznia.



„Sopot” everywhere, 2017 Jingmen Zhanghe International Winter Swimming Festival, 18 stycznia.

Dowiaduję się, że najstarsza rejestrowana grupa to sześćdziesięciolatek. Wraz z kolegą Łotyszem zostaniemy dołączeni do młodszych, ale jako nieklasyfikowani, nie otrzymamy medalu. Ok, takie reguły. Basen zbudowano na jeziorze z bloków plastikowych, kasetonów, podobnych do ogromnych klocków Lego. Z brzegiem łączy go dwie kładki. Minusem jest oddalenie od plaży, co powoduje, że nie widzimy zmagania zawodników, podnoszących atrakcyjność *winter swimming*. Każdy z nas może zapisać się jedynie na jeden wyścig indywidualny oraz na dystans 450 m. Z długiego dystansu rezygnuję, pozostaje 50 m stylem klasycznym. Minusem jest przebieranie się na świeżym powietrzu, przy temp -3 stopnie. Wpierw 450 m, do boji i z powrotem. Spośród 30 pań wygrywa filigranowa Lotta. Otrzymuje wysoką nagrodę w juanach, równorzędną chyba 100 dolarom. Jaimie jest trzecia. Moja kolej. Zsuwam się do wody. Start. Daję z siebie wszystko, ale to zbyt mało, aby wyprzedzić młodszych. Mariia zachęca mnie i Wiesia do udziału we wspólnej sztafecie. Czwartego zawodnika, młodego Łotysza, który pozostał chory w hotelu zastępuje Shaun, Anglik. Okazuje się, że pływać będziemy 4x50m, ponieważ po przeciwnej stronie toru nie zainstalowano drabinek. Nie

jesteśmy w stanie wygrać z championami, ale liczy się entuzjazm i dobra zabawa. Cóż za emocje. W ciągu 30 minut pływam dwa razy, bez rozgrzewki. Ostatnie fotografie. Wracamy do hotelu na dobry lunch. O 14.00 wyjazd, nie wiem gdzie, bo nie śledzę programu. To dla mnie dodatkowa frajda.

Po dwóch godzinach (cóż to za odległości) zatrzymujemy się w pobliżu miejscowości Zhongxiang w prowincji Hubei. Zwiedzać będziemy Grobowce Dynastii Ming (Xianling Thomb) z XVI w, umieszczone na liście Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Spacer od bramy zewnętrznej, przez dziedzińce, aleje z posągami, do właściwego grobowca zajmie około godziny. Fotografie oddają piękno miejsca, w którym się znajdujemy. W drodze powrotnej znajdujemy z lwoną kilka chwil na zakup na straganie drobnych pamiątek.



Brama „Royal Stele Tower” oraz Aleja Smoków (Dragon’s Scale Divine Passage). Grobowce Dynastii Ming (Xianling Thomb) z XVI w. 18 stycznia.



Aleja Smoków (Dragon’s Scale Divine Passage). Grobowce Dynastii Ming (Xianling Thomb) z XVI w. 18 stycznia.

Powracamy do hotelu w promieniach zachodzącego słońca. Okolica pełna jezior. Obok budownictwa starszego, pną się w górę gigantyczne wieżowce, w większości niezasiedlone. Można przypuszczać, że liczba wznoszonych wieżowców mieszkalnych wyprzedza emigrację z ubogich wsi do miast. Żaden developer nie udźwignąłby takiego wydatku. Może to uczynić wyłącznie scentralizowane i autokratycznie rządzone państwo, jakim są Chiny. Jak długo utrzymają takie tempo? Stajemy przed hotelem około 18.00. Jin zarządza na 19.00 uroczystą kolację pożegnalną na poziomie 23. W autobusie rozlegają się gromkie oklaski. Mamy naprawdę godzinę dla siebie? Szybki prysznic, lepsze ubranie i do windy. W plecaku prezenty. Siadam obok Jina i wysokiej rangi lokalnego chińskiego

urzędnika. Mam wygłosić, jako pierwszy, krótkie przemówienie dziękczynno-pożegnalne. Dziękuję Jinowi i jego zespołowi za znakomitą organizację wyprawy. Za pamięć o takich drobiazgach, jak torebki z McDonalds'a, gdy byliśmy zmęczeni podróżą i po prostu głodni. Dziękuję Marii. Gdy po 45 latach małżeństwa prosi mnie o coś Dorota, słyszy nierzadko: zaraz, za chwilę, potem. Gdy dzwoni Mariia, reaguję natychmiast. Jak to zatem jest - pytam, wzbudzając wesołość. Wręczam jej na pamiątkę swoją książkę „Wspomnienia gdańszczanina” z dedykacją. Przemówienia następnych delegacji. Rozmowom i wspólnym fotografiom nie ma końca. Długo rozmawiam z Outi, gratulując trójki dzieci – wspaniałych pływaków. Dziękuję Romanowi za zaproszenie nas do Chin, a także za opiekę, gdy po przepłynięciu 300 m trząśnięciem się z zimna. Ściskam Jaimie, dostanie torcik wedlowski. Żubrówkę w oryginalnym myśliwskim futerale dają Johnowi i Jinowi. Czapkę Sopockiego Klubu Morsów, niebiesko-białą dostaje Lotta - to jej narodowe fińskie barwy. Ściskam Sergieja, wspaniałego fotografa wyprawy. Dobra słowiańska dusza i porządny człowiek. Zawsze uśmiechnięty i pomocny. Iwona i Wiesio wręczają upominki osobom, z którymi się zaprzyjaźnili. Około 23. wracam do pokoju. Wiesio z młodzieżą uda się jeszcze na dyskotekę. Mamy być rano z bagażami o 7.30 na parterze.



Wiesio i Iwona z dyplomami. Jingmen, 18 stycznia.

### 19 stycznia, czwartek

Pobudka o 6.30. O 8.30, po śniadaniu wyjeżdżamy na lotnisko. Czekają nas cztery godziny jazdy. Wracamy do Pekinu samolotem. Wieczór mamy zaplanowany. Tak jak rok temu, wybierzemy się w kilka osób, w tym Iwona i Wiesio, do spa. Na lotnisku żegnamy część grupy, która udaje się do Szanghaju. Ściskam Lisę – wraca na studia do Australii. Jaimie wraca do Nowego Jorku, a Alice do Londynu. Miło im powiedzieć „Do zobaczenia za tydzień w Londynie, na zawodach 7th UK Cold Water Championships”. Wyprawa powoli zmierza do końca. Dobrze, że mam swoją „Herbatkę o piątej” – szybciej mija czas. Siedzę obok pływaka z Mongolii o imieniu Shagdarsuren. Ponownie pyta mnie o tradycje krakowskiego Lajkonika. Zainspirowany rozmową, kupuję stylizowany bukłak z winem z wizerunkiem Czyngis Chana. Na lotnisku o 13.00. Kontrola bagażu i bramki dla pasażerów. Okazuje się, że chińskie przepisy zabraniają przewożenia w bagażu głównym tzw. power bank, baterii doładowującej telefony komórkowe. W Europie jest odwrotnie. Nie ma wyjścia. Otwieram, z trudem upchaną, ciężką walizkę. Szukam urządzenia. Zamknięcie walizki nie jest łatwe. Wszystko na podłodze. Inni mają podobne problemy. Strażnicy chińscy życzliwi, ale nieustępliwi. Bagaż zaakceptowany. Uff! Czeka nas kontrola na bramce. Iwona zabierają małą, zgrabną latarkę. Nie wolno. Gdyby wiedziała i wyjęła wcześniej baterię, nikt nie zwróciłby uwagi. Wysiadł mi głos, czuję nadciągającą chorobę, choć podczas lotu przez dwie godziny opowiadam Marii o genezie powstania i treści podarowanej jej

publikacji. Pyta o każdą fotografię. Gdzieś nad Chinami opowiadam jej o wileńskiej młodości moich rodziców, o dziadkach. O sobie.

Przylot, hotel, zostawiamy bagaże w recepcji i po 30 minutach ruszamy do centrum rekreacyjnego. Szybkim krokiem w 20 min. pokonujemy w mroźnym powietrzu dzielący nas dystans. Nie maszeruję z zapałem, czując narastające przeziębienie. Reszta grupy z entuzjazmem wkracza do obiektu. Czynności jak w ubiegłym roku. Zdejmujemy buty, otrzymujemy kluczyk do szafki. Wdziewamy lekkie stroje podobne do kimona. Jesteśmy tak głodni, że postanawiamy zacząć od posiłku. Zajmujemy dwa okrągłe stoły, idziemy po potrawy. Po kolejnej dokładce, deser. Posługujemy się wyłącznie pałeczkami. Syci zjeżdżamy do właściwego centrum rekreacyjnego, panie do swego, panowie do swego. Sauny, baseny, natryski, bicze wodne, rybki delikatnie skubiące nasze ciało. Wiesio, John, Irlandczyk Barry i inni dają się namówić na masaże. Panie aplikują sobie dodatkowo maseczki z odżywek. Ja źle się czuję, raczej snuję się po obiekcie spoglądając wciąż na zegar, choć cieszę się radością innych. Około 23. wychodzimy. Koszt kilku godzin pobytu wyniósł 218 juanów, czyli ok.100 złotych. Nie mogę uwierzyć, że tak tanio. W Polsce takie atrakcje kosztowałyby kilkakrotnie drożej. Znow pieszko do domu, gdyż na taxi nie ma szans. W hallu ostatnie pożegnania i podziękowania za wspólnie przeżyty czas. Do zobaczenia za kilka dni w Londynie, albo na początku marca w Tallinie podczas zawodów Pirita Open 2017. Szybko do pokoju hotelowego. Iwonce pomyłono pokoje. W przydzielonym jej pokoju śpią już Łotysze. Wydaje się, że przygarniemy koleżankę na noc do naszego pokoju. Na szczęście sytuacja się wyjaśnia. Jest północ. Zasnąć jak najprędzej.

## **20 stycznia, piątek**

Rano czeka na nas w recepcji suchy prowiant, którym posilamy się po przybyciu na pekińskie lotnisko. Taxi. Start. Mam zastrzeżenia do jakości posiłków serwowanych przez LOT. Są naprawdę zbyt ubogie. Alkohol płatny. W ubiegłym roku, lecąc samolotem Lufthanzy, posiłki były znacznie lepszej jakości i bardziej obfite. Alkohol bez ograniczeń. W menu były dania chińskie. Miejsc na wyprostowanie nóg mamy niewiele. Linia Warszawa – Pekin została otwarta niedawno, przy silnej promocji. Gdybym wiedział o oszczędnościach na pasażerach, skorzystałbym z innej linii. Przylatujemy zmęczeni do Warszawy. Po krótkim oczekiwaniu, o 13.35 startuje samolot do Gdańska. Iwona pozostaje w Warszawie. Wiesia odbiera z lotniska rodzina. Koleją metropolitalną dojeżdżam do Wrzeszcza, skąd odbiera mnie samochodem Kasia.

Jacek Starościak

Sopot, 7 lutego 2016 roku.